

„Dworców zaliczyłem w moim życiu niezmierzone ilości”

SOPOT // Kiedyś dworce były zupełnie inne, to było jedyne miejsce, gdzie w nocy – gdy wszystko było już pozamykane – można było na przykład coś zjeść, a nawet kupić alkohol – mówi Jerzy Satanowski, kompozytor, reżyser, przyjaciel Teatru Atelier, który w Sopocie świętował jubileusz 50-lecia pracy artystycznej.

Gabriela Pewińska - Jaśniewicz // 30.08.2022 / 08:00

Trzymając się kolejowej terminologii pana jubileuszowego spektaklu „Stacyjka - Życie”, pan przez to życie pędził pośpiesznym, czy raczej spokojniej-osobowym?

Dosyć długo żyję, więc wszystkie rodzaje pociągów zaliczyłem. W przeciwieństwie do moich rówieśników, nie prowadzę samochodu, nie znoszę latania samolotem, więc jak musiałem podróżować za ocean to był dramat, lubię natomiast dworce kolejowe. Kiedyś dworce były zupełnie inne, to było jedyne miejsce, gdzie w nocy – gdy wszystko było już pozamykane – można było na przykład coś zjeść, a nawet kupić alkohol. Dworców zaliczyłem w moim życiu niezmierzone ilości, bo też zawód mam wędrowny. Klasyczny kompozytor może latami siedzieć w domu i pisać jedną symfonię, ja, dodając muzykę do innych bytów, muszę się przemieszczać z miasta do miasta, od teatru do teatru. Dla mnie dworzec, podróż koleją to metafora świata. O tym też jest moje jubileuszowe przedstawienie. I mimo że wątek podróży koleją podejmowałem już w mojej twórczości, od czasu wojny w Ukrainie, nabrał on zupełnie innego wymiaru.

Stacyjka - życie... Na „stacyjce - Sopot”, a dokładnie w Teatrze Atelier upłynęło panu ponad 30 lat. Ten pierwszy raz w Sopocie?

Miałem pół roku. Gdy w 1947 roku przyszedłem na świat, mój ojciec został admirałem. Przyjechał na Wybrzeże już ze stopniem pułkownika, który otrzymał jeszcze w partyzantce. Tu zaczął budować szkołę morską. Mieszkaliśmy w Sopocie jakieś półtora roku. Ten czas znam tylko z opowiadań, kompletnie nie zapisał się w mojej świadomości. Wróciłem to po latach, już jako twórca. Na przełomie lat 70. i 80. zacząłem współpracę z Teatrem Wybrzeże, którego dyrektorem był wtedy Stanisław Hebanowski. Napisałem muzykę do kilku przedstawień. Pracowałem też dla festiwalu w Sopocie. Byłem w jury festiwalu „Dwa Teatry”. Jeździłem na festiwal filmowy, gdzie zdarzyło mi się nawet otrzymywać nagrody za muzykę. Ale najdłużej współpracuję z Andre Ochodlo, zaczęliśmy robić spektakle, gdy jeszcze Teatr Atelier nie miał swojej stałej siedziby, gdy pierwszy spektakl wystawił w Teatrze Miniatura. Jest kilka miejsc w Polsce, gdzie czuje się szczególnie dobrze. To na pewno Teatr Nowy w Poznaniu, to Wrocław i Teatr Współczesny. To Sopot i Atelier. W Sopocie mógłbym mieszkać, choć biorąc pod uwagę częstotliwość moich przyjazdów tutaj, w zasadzie mieszkam tu.

Teatr Atelier...

To ewenement. Co sezon, przez blisko trzy dekady funkcjonuje ów kameralny byt teatralny i wciąż ma swoją publiczność i przyjaciół-artystów z całej Polski. Nie bez znaczenia jest tutaj pasja i konsekwencja jego założyciela André Ochodlo. Byłem tu od początku, zaraz po śmierci patronki tej sceny, Agnieszki Osieckiej zrobiłem spektakl, z naszych wspólnie napisanych piosenek. Co sezon robię premierę. To lato było wyjątkowe, bo w ciągu trzech tygodni wystawiłem trzy: „Pamiętajmy o Osieckiej”, „Stacyjkę” i widowisko z okazji 25-lecia festiwalu Osieckiej, w którym wzięli udział laureaci nagrody publiczności wszystkich edycji oraz Teatr Mumio.

PRZECZYTAJ TEŻ: Urodziny w Teatrze Atelier

Podsumowując 50 lat podróży. W dobrym kierunku zmierzał pana pociąg?

Byłbym bluźniercą, gdybym na cokolwiek narzekał. Zwłaszcza że całe życie dostawałem pieniądze za to, co i tak robiłbym bez zapłaty. Poznałem wspaniałych ludzi i nawiązałem trwałe przyjaźnie.

Szczęście sprzyjało?

Szczęście... Wszystko być może potoczyłoby się inaczej, gdybym nie spotkał kiedyś, w pociągu zresztą, reżysera Henryka Baranowskiego. Jechał do teatru w Kaliszu, na próby. Zaśpiewałem mu kilka piosenek, z których natychmiast postanowił zrobić spektakl, zamiast tamtego, który właśnie jechał robić. I, o dziwo, ówczesna dyrektor kaliskiej sceny, Izabella Cywińska, przystała na to.

W ciemno?

Pamiętała mnie jedynie z jakiejś imprezy w moim domu w Poznaniu, gdzie spotykała się ówczesna bohema i gdzie jeden z utworów „skomponowałem” leżąc pod fortepianem. Mnóstwo przypadków zaważyło na moim życiu. Miałem na pewno szczęście w tym, że od momentu, gdy zacząłem ostro pracować zajmując się tym co lubię, nigdy nie znalazłem się w żadnej tragicznej sytuacji, ani zdrowotnej, ani finansowej ani też artystycznej, która by mi ten mój pociąg skierowała na inne tory.

PRZECZYTAJ TEŻ: Piosenki kolejowe, czyli jubileusz w Teatrze Atelier

Ale też nigdy pan nie odpuszcza.

Choć nie cierpię siebie za to, że na wszystko się zgadzam, że wiele propozycji, choć nie chciałem, przyjąłem. Że nie umiem odmawiać. Do każdej propozycji podchodzę z entuzjazmem, ale na drugi dzień, gdy emocje opadną – bywa – żałuję, że się zgodziłem. Z drugiej strony mam też poczucie obowiązku, które nie pozwala mi obrazić się i przerwać pracę. Czy udać chorego i wymigać się od roboty. Napisałem muzykę do 350 przedstawień i to na całym świecie. Zdarzały się rzeczy średnie, ale też wspaniałe. Więc nie ma co narzekać. Zresztą uważam, że narzekanie ludzi, którzy żyją z tego, co było im przeznaczone, do czego mają zdolności, co kochają, jeszcze przy tym całym nieszczęściu, które dzieje się na świecie, jest nieeleganckie.

Muzyka potrafi zdziałać cuda?

Potrafi na przykład odczarować źle zagrana rolę, sprawić, że postrzegamy postać inaczej, muzyką zdarzyło mi się uratować aktora, pokazać to, co robi w innym świetle, pomóc mu. Znaczenie muzyki w filmie, w teatrze jest niebagatelne.

Co pan robi w Sopocie, gdy nie pracuje pan na scenie? Pływa pan?

Gram w tenisa, choć w zasadzie od trzech lat nie gram, bo czasu nie ma.

PRZECZYTAJ TEŻ: To Fibak teraz maluje obrazy?

Wojciech Fibak też akurat jest w Sopocie, pokazuje w tutejszej galerii swoją kolekcję obrazów. Na korce spotkaliście się panowie, w jakichś innych okolicznościach?

W tenisa nie graliśmy, ale łączy nas umiłowanie sztuki, bo i ja kolekcjonuję obrazy, mam ich blisko 150. Nawet od niego kupiłem parę rzeczy... Moja kolekcja to polska sztuka współczesna. Bliska surrealizmowi. Dobre nazwiska. Ale galerii, jak Fibak, nie mam.

Do Sopotu nie chciał pan się przenieść na stałe?

Im jestem starszy, tym najlepiej mi w moim domu w Warszawie. Jest tam najwięcej narzędzi, które zabijają nudę, stoi zawsze nastrojony instrument, jest biblioteka, komputer, na którym można tworzyć muzykę. Dlatego ostatnio coraz mniej podróżuję, choć mam gdzie.

Teatr też jest domem?

Bywał. Teraz jest chyba gorzej z domownikami tego domu, poczucie zespołowości już w zasadzie mało gdzie istnieje, wszyscy się spieszą, to już nie jest ta teatralna rodzina co kiedyś. Teatr, który tworzyła Cywińska w Kaliszu w 1972 roku, to była prawdziwa artystyczna sekta, żyliśmy od rana do nocy tylko teatrem. Wiele było takich miejsc... Ale świat się zmienił. Swoje zrobiła rzeczywistość wirtualna. Po co się spotykać, jak można zadzwonić z każdego zakątka świata, w każdej chwili, jak można spotkać się na Facebooku...

Tęskni pan za tamtym światem?

Żeby wrócić do tamtego świata artystycznego, trzeba byłoby mieć bardzo zdrową wątrobę (śmiech). Jeszcze kilka lat temu, po spektaklu szło się na plażę, zaczynało się drugie sopockie życie, a dziś, ledwo ucichną brawa, zwijam się do hotelu. Ale nie boleję nad tym.